# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w mi jscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półrocznie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.

Rok XIX. Kraków, 24 czerwca 1922. Nr. 25.


# Boże Ciało w Krakowie



Tegoroczna procesya zamkowa przy trzecim ołtarzu na Rynku krakowskim.


TREŚĆ NUMERU: Od Administracyi. — Boże Ciało w Krakowie. — Cwierć wieku na stanowisku prymaryusza szpitala. — Nowy komendant Krakowskiego Obozu Warownego. — Swięto śpiewackie w Warszawie. — Zjazd byłych uczniów gimnazyum częstochowskiego. — Muzycy i śpiewacy polscy na odbudowę zniszczonej kopuły św. Piotra w Krakowie. — Budowa II. Domu Techników we Lwowie. — Katastrofa lotnicza w Nowym Targu. — Nasi wschodni sąsiedzi. — Najpraktyczniejszy język międzynarodowy. — Spełnienie się dawno tajonych marzeń. — Prezydent Masaryk na manewrach.

## Od Administracyi.

Z numerem następnym rozpoczynamy III-ci kwartał dziewiętnastego roku wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma; prenumerata wynosi:

kwartalnie . . **576** marek
do końca roku . **1152** „
wraz z przesyłką pocztową.



**Nowy komendant Krakowskiego Obozu Warownego.**
Pułkownik piechoty, Józef Becker.

## Boże Ciało w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Doroczne święto Bożego Ciała obchodzone bywa w Krakowie z nadzwyczajną uroczystością, a w procesyi, tak zwanej „zamkowej“, wyruszającej z wawelskiej Katedry na Rynek, biorą udział dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta i tłumy pobożnych, przybywających do podwawelskiego grodu na ten dzień z bliższych i dalszych okolic kraju.

Uroczysty pochód, posuwający się z Wawelu ulicą Kanoniczą i Grodzką na Rynek, rozpoczynają prebendaryusze Towarzystwa Dobroczynności, za nimi postępują wszystkie bractwa kościelne z chorągwiami i obrazami, stowarzyszenia katolickie, duchowieństwo zakonne i świeckie poprzedza baldachim, pod którym Książę Biskup krakowski w otoczeniu kapituły katedralnej niesie *Sanctissimum*. Dokoła baldachimu tworzą szpaler sztandary cechowe i ich starszyzna z berłami oraz honorowa straż wojskowa, za baldachimem postępują przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, Uniwersytetu, wojskowości itd. W pochodzie bierze udział kompania honorowa z muzyką, aby oddać salwy przy każdym ołtarzu. W Rynku ustawionych jest pięć ołtarzy, przy pierwszych czterech odśpiewane zostają Ewangelie św., przy ostatnim celebrans udziela zgromadzonym tłumom błogosławieństwo. Pieśni kościelne, śpiewane przez pobożnych, majestatyczny głos dzwonów z wawelskim Zygmuntem na czele, zlewają się w podniosłą i uroczystą harmonię z dźwiękami orkiestry wojskowej i hejnałami, wytrębywanymi na wieży Maryackiej. Ponadto przy każdym ołtarzu śpiewa chór katedralny.

Tegoroczna procesya Bożego Ciała, prowadzona przez Księcia Biskupa Sapiehę, wypadła, dzięki sprzyjającej pogodzie, jak co roku, wspaniale. Napływ obcych był większy, niż w poprzednich latach. Na Rynku krakowskim reprezentowane były w dniu tym wszystkie stany, liczbę uczestników ocenić można śmiało na kilkadziesiąt tysięcy.

Krakowianie tak już zżyli się z tą wspaniałą uroczystością kościelną, iż boleśnie odczuwają jej brak, jeśli niepogoda zmusi ją do pozostania w murach Katedry.

Przez całą oktawę odbywają się procesye Bożego Ciała z poszczególnych kościołów krakowskich, z tych jeszcze dwie wyruszają na Rynek „dominikańska“ w niedzielę przed południem, „maryacka“ w oktawę po południu, żadna jednak świetnością nie dorównuje „zamkowej“.

Z uroczystością Bożego Ciała w Krakowie połączony jest tradycyjny obchód „Konika Zwierzynieckiego“, który w oktawę Bożego Ciała, po procesyi „maryackiej“, wkracza tryumfalnie na Rynek i urządza na nim swe niewinne tatarskie zagony, ku uciesze tłumów, które w tym dniu do późnego



**Ćwierć wieku na stanowisku prymaryusza szpitala:**
Dr Antoni Krokiewicz, prymaryusz oddziału chorób wewnętrznych Szpitala św. Łazarza w Krakowie.

wieczora zalegają Rynek i ulice, wiodące w stronę Półwsia Zwierzynieckiego, skąd tatar przybywa i dokąd następnie powraca.



**Święto śpiewackie w Warszawie:** Uczestnicy przyjęcia, urządzonego przez prezydenta min. Penikowskiego, na cześć przybyłych śpiewaków w pałacu po-Radziwiłłowskim.

## Nowy komendant Krakowskiego Obozu Warownego.

Następcą jenerała Kosteckiego na stanowisku komendanta Krakowskiego Obozu Warownego został pułkownik piechoty i dowódca brygady, Józef Becker.

Pułkownik Becker służbę swoją wojskową rozpoczął w b. armii austryackiej w r. 1892, przy pułkach polskich 20 i 13 piechoty. Jako oficer tego ostatniego, wziął udział w wojnie światowej, biorąc udział w walkach na rozmaitych frontach, przewrót w r. 1918 zastał go na stanowisku podpułkownika 113 pułku piechoty, który w krytycznej chwili czynny był na froncie rumuńskim, gdzie zaprzysiągł go na wierność Polsce i, po przezwyciężeniu licznych trudności, doprowadził szczęśliwie do Ojczyzny. Z początkiem tego roku, będąc jeszcze na froncie włoskim, wystąpił energicznie przeciw władzom austryackim, odpierając zarzuty niewierności, czynione swemu pułkowi. Po powrocie do Krakowa w dniu 14 listopada 1918 wstąpił do sztabu jenerała Rozwadowskiego, obejmując w nim stanowisko referenta broni i organizacyi armii na Wschód. W r. 1919 walczył zwycięsko w obronie Lwowa, jako dowódca jednej z grup, następnie w 12, 13 i 18 dywizyi przeciw Budiennemu. Otrzymawszy rozkaz objęcia dowództwa brygady w 18 dywizyi, otoczonej w Brodach przez Budiennego, przebił się tamże w pociągu pancernym „Pionier" i, przybywszy szczęśliwie na miejsce, na jej czele prowadził w dalszym ciągu zwycięskie walki przeciw Budiennemu. W 13 dywizyi zdobył po ciężkiej walce Tyszowce i rozbił watahy bolszewickie pod Wertkowicami.

Jeszcze jako oficer armii austryackiej odnosił się pułkownik Becker zawsze bardzo przychylnie względem Legionów, pomagając im, gdzie i ile mógł, wśród swych podwładnych potrafił sobie wyrobić uznanie i sympatyę, jako energiczny, sumienny, ale przytem wyrozumiały i życzliwy przełożony.

Za zasługi, położone w szeregach armii polskiej ozdobiony został pułkownik Becker orderem *Virtuti Militari*, trzema Krzyżami Walecznych, orderem *Polonia Restituta* czwartej klasy i odznaką lwowskich „Orląt".

## Ćwierć wieku na stanowisku prymaryusza szpitala.

W ubiegłym tygodniu obchodził krakowski Szpital św. Łazarza dwudziestopięciolecie pracy dra Antoniego Krokiewicza na stanowisku prymaryusza oddziału chorób wewnętrznych. W sposób cichy, ale serdeczny uczczono zasługi Jubilata, który dla nauki polskiej, a przedewszystkiem dla cierpiącej ludzkości zdziałał bardzo wiele, ich służbie poświęcając całe swe życie. Dr. A. Krokiewicz należy w Krakowie do najzdolniejszych i najsumienniejszych lekarzy internistów, w szerokich kołach swych pacyentów ciesząc się zasłużonem uznaniem, jakie zdobył sobie gruntowną wiedzą i prawdziwie ojcowską troskliwością o ich zdrowie. W piśmiennictwie lekarskiem polskiem zajął Jubilat również poczestne miejsce, wydając około sto dwadzieścia prac w języku polskim, niemieckim i francuskim, wysoko cenionych przez sfery naukowe, tak krajowe, jak i zagraniczne. Pigułki eukaliptusowe według przepisu dra Krokiewicza należą do szeroko poszukiwanych specyfików lekarskich.

Dowodem uznania i sympatyi, jakiemi dr. Krokiewicz cieszy się pośród swych współpracowników, jest ufundowanie przez nich cegiełki Domu Medyków jego imienia z okazyi obecnego jubileuszu.

Jubilat urodził się w Krakowie w r. 1862., tutaj ukończył gimnazyum św. Jacka i Wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego gdzie w r. 1886. promowany został na doktora wszech nauk lekarskich. Od tego roku aż do 1890. pełnił obowiązki asystenta przy katedrze anatomii patologicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego i zastępcy prosektora Szpitala św. Łazarza. Z tych czasów pochodzą skrypta „Anatomii patologicznej", wydane przez dra Krokiewicza, jedyny dostępny wówczas dla młodzieży lekarskiej podręcznik tego przedmiotu. W r. 1887. odbył dr Krokiewicz fachowe studya bakteryologiczne u prof. Kocha w Berlinie i prof. Paltaufa we Wiedniu. Po złożeniu egzaminu fizykackiego powołany został w r. 1891. na kierownika laboratoryum bakteryologicznego Krajowej Rady Zdrowia przy Namiestnictwie we Lwowie, gdzie pozostawał do r. 1897. pełniąc równocześnie przez lat trzy obowiązki prosektora przy Szpitalu krajowym we Lwowie. Z dniem 1. czerwca 1897. objął jako prymaryusz kierownictwo oddziału wewnętrznego Szpitala św. Łazarza w Krakowie, który prowadzi niestrudzenie do dnia dzisiejszego.

W ciągu swej trzydziestoletniej działalności lekarskiej zajmował się dr. Krokiewicz głównie pracą nad badaniem cholery i gruźlicy, zyskując sobie uznanie świata naukowego liczne odznaczenia pisemne od władz przełożonych, przedewszystkiem zaś



**Zjazd byłych uczniów gimnazyum częstochowskiego:** Uczestnicy zjazdu z ks. prałatem Ciesielskim w pośrodku.



**Święto śpiewackie w Warszawie:** Prezydent min. Ponikowski, marszałek Trąmpczyński i prezes Zjazdu bar. L. Kronenberg w otoczeniu członków Komitetu zjazdowego.

wdzięczność tysięcy pacyentów, których uratował od niechybnej śmierci. Za skuteczne zwalczanie cholery w r. 1892 ozdobiony został krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa.

ska niemieckiego — 50 osób, 1 z kresów wschodnich — 38 osób, 1 z Westfalii — 60 osób, poza tem byli reprezentanci polskich stowarzyszeń z w. m. Gdańska i z Berlina, wszystkich ogółem z górą 3.000 śpiewaków.

Wykonawczego Leopold bar. Kronenberg, akcentując doniosłe znaczenie Zjazdu pod względem artystycznym i społecznym, następnie przemawiał prezes ministrów p. Antoni Ponikowski, wreszcie powitał zebranych w imieniu miasta Warszawy





**Budowa II. Domu Techników we Lwowie:** I. Zwózka cegły na plac budowy. II Wiceprezydent m. Krakowa Rolle, z delegacyą Zjazdu Miast na placu budowy.

## Święto śpiewackie w Warszawie.

W dniach Zielonych Świąt zjechały do Warszawy liczne koła śpiewacze z różnych miast i miasteczek Rzeczypospolitej, a nawet z poza jej granic, na wspólną ucztę artystyczną, na święto pieśni, aby się wzajemnie poznać.

Stanęły w jednym szeregu polskie Koła śpiewacze w następującym komplecie: 55 stowarzyszeń z b. Królestwa w liczbie 1.240 osób, 15 stowarzyszeń z Wielkopolski — 656 osób, 13 z Pomorza — 418 osób, 9 chórów z Małopolski w liczbie 159 osób 2 ze Śląska polskiego — 535 członków, 1 ze Śląska niemieckiego —

Uroczystość rozpoczęła się dnia 3 czerwca wieczorem zebraniem towarzyskiem uczestników Zjazdu w sali Rady miejskiej.

W niedzielę zrana, odbyło się nabożeństwo w kościele św. Krzyża, w czasie którego zespół chórów warszawskich odśpiewał mszę W. Lachmana pod dyrekcyą autora i „Veni Creator“ Troszla, solo „O władco świata“ Moniuszki wykonał doskonały basista warsz. Opery p. Michałowski. Piękne kazanie do zebranych w świątyni śpiewaków wygłosił ks. poseł M. Nowakowski, poczem w sali Rady miejskiej nastąpiło uroczyste otwarcie Zjazdu. Pierwszy zabrał głos prezes Głównego Komitetu

prezes Rady miejskiej p. Ignacy Baliński, po nim zaś zabrał głos p. Z. Kaczyński, informując śpiewaków o szczegółach programu uroczystości. W sali Filharmonii popisywało się 19 chórów ze wszystkich dzielnic Polski. Dominujące wrażenie wywarł doskonale zaśpiewany i sięgający prawdziwych wyżyn wirtuozyi śpiewaczej chór krakowski „Echo“ pod dzielną batutą B. Walek-Walewskiego.

O godzinie 6 wieczorem p. Prezes Ministrów z małżonką podejmował uczestników w ogrodzie pałacu Rady Ministrów. Tegoż dnia o g. 8 wieczorem w siedzibie W. T. C. na Dynasach odbyło się koncert połączonych chórów. Wszystkie połą-



**Muzycy i śpiewacy polscy na odbudowę zniszczonej kopuły św. Piotra w Krakowie:** Inicyatorzy i wykonawcy koncertów muzyki kościelnej, urządzanych w każdą niedzielę i święto. Od lewej ku prawej siedzą: Prof. Bursa, A. Zbigniewiczówna, Jaworzyńska, prof. Skarzyński, Jefimcewa, pułk. Becker, prof. L. Grodzicka, ks. jenerał Niezgoda. ks. J. Buda, Kniaginin, Bigot, Mściwojewska. Stoją rząd środkowy: Prof. Bobilewicz, prof. Konior, kapelm. Zamorski, Langer, dyr. Tesarzyk, Kalinowa, Grodzicki, dyr. Garbusiński, Jakubowska, dyr. Barański, prof. Peters, Szczerbińska, Tekely, Delężanka. Rząd ostatni: Siwek, Paszkot, Matoga, dyr. Klimczyk, Hisztin, dyr. Kozłowski, dyr. Eckhardt, Golińska, Wraga, Wądrychówna, Wilkosz, Koniorówna, Mrozicka.

RENE BURES.

# Zil=X...

21) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

— Kpię sobie z ajenta policyjnego!

— Dobrze! A on sobie zakpi z pana bramy. Każe ją wysadzić.

— A co to pana może obchodzić? To do mnie tylko należy.

— Dobrze. Jestem przyjacielem. Chciałem tylko pana ostrzedz. Ale skoro pan to tak przyjmuje, więc odchodzę. Jest pan jednym z najbardziej upartych ludzi jakich kiedykolwiek widziałem — zawołał Iggins wyprowadzony z równowagi. — Odchodzę, wraz z moimi przyjaciółmi, panie Dambleuse, nie zobaczy mnie pan prędko.

I rzeczywiście Iggins zamaszystym krokiem podszedł do automobilu, usiadł i rzucił jakiś rozkaz szoferowi. Wsiedliśmy za nim i już maszyna miała ruszyć z miejsca, kiedy nagle drzwi zamku otworzyły się ztrzaskiem. Ujrzeliśmy starego Dambleuse, ubranego w wielki, obszerny płaszcz wypłowiały i stary. Na głowie miał zniszczoną płaską czapkę, na nogach wysokie buty. Był wściekły. Kosmyki siwych włosów wychodziły mu z pod czapki. Duże binokle umieszczone na czubku nosa trzęsły się od wewnętrznego drżenia jego ciała.

— Ah! tak! — zawołał. — Myślicie, że sobie odjedziecie teraz spokojnie, po tem wszystkiem?

— A jakże pan chce żebyśmy odjeżdżali? — zapytał Iggins zimno.

— Wyobrażacie sobie — krzyczał dalej stary, nie zwracając uwagi na słowa Igginsa — że można bezkarnie napaść uczciwego człowieka, pomięszać jego obliczenia i rachunki, przerwać jego poszukiwania i doświadczenia, tak ważne dla nauki, zdenerwować go, zburzyć jego spokój na cały dzień, wytrącić go z równowagi i potem wyjechać sobie najspokojniej? Myślicie panowie, że tak można zrobić, co?

Iggins już tymczasem zapanował nad sobą i odzyskał na chwilę utraconą, zwyczajną swoją flegmę i spokój.

— Pan chce żebyśmy zostali? — rzekł uśmiechając się. Trzeba było zaraz to powiedzieć, kochany panie Dambleuse. Ależ z największą przyjemnością. A nawet drogi panie, przyjmiemy z ochotą zaproszenie na śniadanie!

— Ja nie jem śniadania! — odrzucił stary ze złością! Ja nie jem wcale śniadania!

— Tem gorzej dla pana. Śniadanie powinno się zawsze jeść, choćby ono było najgorszem. Ale oto korzystamy z uprzejmości pana i zostajemy.

Skoczył z automobilu ze zręcznością młodego chłopca, a my uczyniliśmy to samo.

— Co to pan opowiadał o tym ajencie z policyi? — zapytał stary dziwak.

— Mówiłem, że policya wie już zapewne, tak, jak Iggins stojący przed panem o zniknięciu pana służącej. Wobec czego zjawi się tu lada chwila i przeprowadzi śledztwo. Jeżeli pan nie zechce otworzyć tak, jak nam, otworzą sobie sami i zdemolują bramę pana.

— Elwira znikła? — zapytał Dambleuse. — Kto to panu powiedział?

— To już do mnie należy. Faktem jest, że zniknęła — nieprawdaż?

— I jakież to może mieć znaczenie? — mruknął stary unosząc się znowu. Tak mój panie Jakież to może mieć znaczenie? — powtórzył z wściekłością. Ja nie zajmuję się szpiegowaniem ludzi, mój panie. Spróbowałem raz zabawić się w detektywa razem z wami i przekonałem się, że tylko czas tracę na próżno. Naprawdę, pan się na tych rzeczach nic a nic nie rozumie. Tak! tak! Poco się pan wmięszał w tę sprawę? Chodzi panu o opinię rodziny Dambleuse? Pan jej opinii nie uratuje. Innych ludzi potrzeba do tego, mój chłopcze! Ha! ha! bajeczne było to śledztwo pana! A ta kolacya, z tą panienką z teatru. Paradna historya! I to odkrycie pana wspaniałe! Zil — X. — Ah! dajcie mi pokój. Jakże ja głupi byłem! Uwierzyłem na chwilę w wasze głupie dowodzenia, ale teraz już otrząsłem się z tego. Zil — X — 27002! Ha! ha! śmiałbym się z tego, przez dzień cały, gdybym nie miał tyle pracy przed sobą!

Iggins zbladł lekko, ale spokojnie, do końca wysłuchał wybuchu starego.

— Nie chodzi teraz o Zila, panie Dambleuse — odezwał się gdy Dambleuse zmęczony umilkł nareszcie. Nie chodzi tu wcale o śledztwo, tylko o Elwirę Bourdon. Przychodzę tutaj szukać służącej pana Elwiry Bourdon!

— Pozostawcie mnie w spokoju! Słyszycie! pozostawcie mnie w spokoju! — krzyknął stary nieprzytomny z gniewu. — Co mnie obchodzi wasza głupia historya. Elwiry niema, powiadacie? A więc wróci, jak się jej będzie podobało. A ja was mam dosyć, słyszycie?

Odwrócił się od nas, jak gdyby zamierzał odejść, ale Iggins zatrzymał go pytaniem.

— Ona wróci tu. Jest pan pewnym tego?

— Drwię sobie z tego — zaśmiał się głośno stary. — Drwię sobie z tego i z was także, rozumiecie mnie? Sto służących nie warte są dziesięciu minut straconego czasu. A przez was i przez nie straciłem już cały ranek. Ja mam siedmdziesiąt lat, mój panie. Muszę się spieszyć. A pan mi tu przychodzi i zawraca głowę jakiemś zniknięciem i policyą! Już koniec mój panie! koniec! Idę do mojego laboratoryum i tam o chlebie i wodzie pracować będę. Ajenci, sędziowie, żandarmi, wy wszyscy, nie istniejecie dla mnie! Już dosyć straciłem czasu przez wasze głupstwa! Tydzień cały! tak, tydzień cały! to jakgdyby dla drugiego lat dziesięć!

— Czy wy wiecie, co to jest taki tydzień dla mnie? — krzyczał dalej — wpadając w szał jakiś epileptyczny i potrząsając ramieniem Igginsa. Tydzień, kiedy mnie może już tylko rok pozostaje do życia!

— Ah! ah! żeby nie wy! byłbym świat cały zburzył od posad i stworzył świat inny, nowy!

Dambleuse podniecał się coraz bardziej; na bladą zwykle twarz jego, wystąpiły takie gorączkowe wypieki, że byłem pewnym, iż grozi mu lada chwila atak apoplektyczny.

— Ah! więc to tak! — krzyczał już teraz, dusząc się z gniewu. — Te ośm dni nie wystarczy wam! Chcecie mi jeszcze wydrzeć drugi tydzień!? No dalej! Uciekajcie stąd! Uciekajcie prędko! Ah! ah! jeszcze tydzień! Jeszcze cały tydzień mam im poświęcić! Tego chcecie, co!

— Spokojnie, panie Dambleuse — przerwał wybuch starego Iggins... Ja szanuję naukę...

— Jeżeli ją pan szanuje, tak, jak mówi, to wynoście się stąd prędko.

— Szanuję wiedzę — powtórzył Iggins. I także lubię nie tracić czasu napróżno. Ale niech się pan zastanowi. Za chwilę jak powiadam zjawią się tu ajenci. Więc i tak dzień ten będzie dla pana straconym.

— Nie! — odparł stary.

— Tak! — upierał się Iggins.

— Nie! — huknął Dambleuse. — Nie! Nie! Oni tu nie wejdą. Nikt tu nie wejdzie, kiedy ja pracuję! Więc sądzi pan, że wystarczy, aby się zjawił głupi jakiś ajent, a ja mu zaraz otworzę? Co to znowu? Dlatego, że ktoś tam puka do moich drzwi, ja mam porzucać tak ważną pracę, przerwać obliczenia? Nie! tysiąc razy nie! Dosyć mam tego! Dosyć! Słyszycie! Pracować będę dalej, pomimo ajentów, pomimo was, pomimo wszystko! I niech się strzeże ten, który będzie mi chciał przeszkodzić.

Dobrze — oświadczył Iggins — odchodzę z moimi przyjaciółmi. Ale nie sądzę, aby ajenci okazali się tak względni.

— Zobaczymy — mruknął stary Dambleuse. Obrzucił nas jeszcze zirytowanem spojrzeniem i zawołał ironicznie:

— Życzę panom dobrej nocy!

— Poczem prędko zatrzasnął bramę za sobą. Słyszeliśmy jeszcze jak klął zawzięcie, zasuwając rygle i zamykając drzwi na klucz.

Iggins postał chwilę przed zamkniętą bramą i zdawał się nad czemś głęboko zastanawiać. Poczem odezwał się:

— Nie! nie ruszę się ztąd. Jestem ciekawy, co się tu stanie. Może ten stary waryat zmieni zdanie i otworzy dobrowolnie. Ale to będzie w każdym razie ciekawy widok. Za pięć minut w pół do dwunastej — mówił dalej spojrzawszy na zegarek. — Pociąg już właśnie nadszedł. Nie będziemy więc długo tu czekać. Najgorsze jest to, że nie wiadomo teraz kiedy będziemy mogli zjeść śniadanie.

Co prawda ani Dalton, ani ja nie myśleliśmy o jedzeniu. Byliśmy zanadto podnieceni tą dziwną sceną. Wiedziałem, że stary Dambleuse uchodzi wszędzie za maniaka, ale nie przypuszczałem, żeby jego dziwactwa doszły do tego stopnia. Z dziedzińca, na którym znajdowaliśmy się, rozciągał się widok na całą okolicę. Mogliśmy więc z tego miejsca obserwować doskonale wszystkie drogi wiodące do zamku. Po jakimś czasie, na jednej ze ścieżek ukazała się sylwetka trzech ludzi. Iggins podszedł do automobilu, wyjął polową lunetę i przyglądać się zaczął.

— To Markas — rzekł po chwili — i ajent drugi, Salomon. Idzie z nimi jakiś nieznajomy — sędzia prawdopodobnie.

— Pan Giroux? — zapytałem.

— Nie — odpowiedział Iggins. Okrąg działalności pana Giroux nie sięga aż do ąd. To zapewne jego kolega z Pontoire tak — to on będzie.

Spoglądaliśmy wszyscy po kolei przez lunetę. Poznaliśmy Markasa i Salomona, idących równym, żołnierskim krokiem. Obok nich szedł niewysoki, dosyć gruby mężczyzna, czyniąc widoczne wysiłki, aby nadążyć towarzyszom.

Dalton dotąd nie odezwał się ani słowem. Odszedł od nas na chwilę, aby obejść zamek dookoła. Wrócił po jakimś czasie i zamienił z Igginsem porozumiewawcze spojrzenie.

— Ciekawy jestem, jak się to wszystko ułoży! — rzucił jak gdyby do siebie, wzruszając ramionami.

Nakoniec po upływie dziesięciu minut, Markas, Salomon i ich towarzysz stanęli u stóp zamku.

Wdrapali się żywo po niewielkiej pochyłości dzielącej nas od nich i znaleźli się obok nas.

Markas nie okazał pozornie żadnego zdziwienia na nasz widok.

— Dzień dobry panie Dalton — rzekł ze swobodą zanadto sztuczną.

Mnie ukłonił się lekko, Igginsa zaś zaszczycił tylko przenikliwem spojrzeniem.

Iggins najmniejszej nie zwrócił uwagi na nowo przybyłych.

Markas poszedł do sędziego i szepnął mu coś do ucha. Ale sędzia potrząsnął tylko głową ruchem odmownym i zwrócił się w stronę bramy zamkowej.

I tak, jak to uczynił niedawno Dalton, podniósł młotek żelazny umieszczony przy drzwiach i zastukał. Ale nic się nie poruszyło w zamku.

Sędzia poczekał chwilę i znowu uniósł młotek żelazny. Ale i tym razem drzwi nie otworzyły się. Wówczas Markas podszedł szybko i kilkakrotnie uderzył nogą w odrzwia, mrucząc coś pod nosem. Głucho echo rozległo się wewnątrz, zdając się rozchodzić po długich dalekich korytarzach, ale drzwi pozostały nadal zamknięte.

— Może tam niema nikogo — rzucił sędzia.

Markas pochylił się znowu ku niemu i szepnął mu coś cicho.

— Dobrze! — oświadczył sędzia.

Markas wówczas zbliżył się do Daltona i zapytał:

— Czy nie wie pan, czy stary Dambleuse jest w zamku?

— Proszę się zwrócić do Igginsa — odpowiedział Dalton. — Kiedy on jest, ja milczę.

Ajent niechętnie zwrócił się z tem zapytaniem do Igginsa, przypatrującego mu się z ironicznym uśmiechem.

— Czy to sędzia polecił wam zapytać mnie o to? — zapytał.

— Tak — odpowiedział Markas.

— W takim razie powiedz mu mój przyjacielu, że nie mam zwyczaju porozumiewać się przez pośredników z osobą, która nie była mi jeszcze przedstawioną. Zrozumiałeś?

— Czy chce pan, abym mu przedstawił sędziego.

— Iggins nigdy niczego nie żąda. Oznajmiam tylko, że nie rozmawiam z ludźmi nieznajomymi.

Markas powrócił do sędziego i chwilę z nim rozmawiał przyciszonym głosem. Sędzia brwi marszczył, sapał, w końcu wzruszył ramionami. Ale podszedł do nas i odezwał się jasnym, spokojnym głosem:

— Panowie, jestem Henryk Pontvau, sędzia z Pontoise. Czy nie moglibym się od was dowiedzieć, czy pan René Dambleuse znajduje się obecnie w zamku.

— Jest tam — odparł Iggins.

— Jest pan tego pewnym?

— Tak.

— Widział go pan?

— Tak.

— A więc musi on nam otworzyć — oświadczył pan Pontvau.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

**Powieść dyktowana przez autora w transie.**

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

11)

A narodziła się pieśń w smutny poranek... w mgłach z nad Tamizy... w alejach uroczego parku...

...I rozwiała się w kraju tysiąca jezior...

...I przepadła nad Newą... w kolumnach marmurowego pałacu.

...O, bo ten, którego szukała pieśń miłości — zimny był, jak kolumna marmurowa.

...I odnalazła go na szerokiej, bezbrzeżnej fali Wołgi... I snuła się za nim... jak cień... tygodniami... po wytwornych salonach pływających...

...I rozwiała się... jak mgła poranna w nadwołżańskich sadach...

...I szukała go jeszcze wśród barwnych kamieni Uralu... i grała mu tam wszystkimi kolorami tęczy obrazy mozajkowe bajecznej miłości.

...Aż z bolu zastygła — i skamieniała jak cudna gemma...

...I odtąd uleciawszy na dalekie brzegi Gangesu, postanowiła już nigdy nie wracać do niego poprzez padół ziemski...

...Ale błękitnym eterem zalata w jego strony i skrzydłem ducha o struny harfy miłosnej trąca...

...A wtedy pieśń gra — inaczej, niż grywała...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Piotr słucha, oparty o białe posłanie Klaudyi. A nad nim harfa śpiewa pieśń miłości i w sercu jego budzi jakąś strunę, której nigdy sam nie dotknął.

Wtem pod wpływem pieśni Ady, Klaudya oczy otwiera rozbudzona — i na swem białem posłaniu przysiada i pyta:

— Czemuś tak smutny, Piotrze?

A Piotr, na Różyczkę wskazując, odpowiada:

— Żal mi jej... strasznie mi jej żal...

— To Marya — powiada Klaudya.

— Marya? — pyta Nelin.

— Zbudź ją... i zapytaj. Zbudź śpiącą... niech ci sama powie.

Wpatrzył się Piotr w rysy Różyczki i oczy podniósł na Maryę. Długo wzrok jego błądził z jednej twarzy na drugą — i porównywał.

— O, tak! jak mogłem nie poznać odrazu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Miał spytać Maryę, gdy wpadli czerwoni i uprowadzili ich z sobą.

Po drodze zbierali innych z domów nędzy. A brali tylko tych, co niegdyś byli zamożni.

Nie brali innych, jak tylko takich, co mieli jeszcze ręce białe.. palce delikatne.. dłonie bez odcisków...

I w takie ręce wtykali to miotły, to łopaty.

A batem świszcząc w powietrzu, poganiali gromadę przed sobą.

Szli ulicami bez końca...

— Gdzie się podziały parkany?

— Gdzie przepadły ganki domów... schody?

— Gdzie zniknęły całe budynki drewniane?

— Jak to, nie wiecie? A czemże bylibyśmy palili w piecach?

— A sklepy?... czemu wszystkie zamknięte?

— Sklepy? wszak nad nimi tylko puste sklepienie... więc po co je trzymać otworem...

— A te fabryk kominy, czemu dymić przestały?

— Spojrzcie do środka... ruina wam odpowie.

— A te pałace bez szyb w oknach?

— A te gmachy wielkie w ruinach i zgliszczach?

— A te zakłady, martwe jak groby?

— Te biblioteki zamienione w stajnie?

— Te teatry rozwalone... rozgromione...

— Co się tu stało?

— Gdzie się stąd życie podziało?

— Wymarło.

— A ludzie... gdzież są ludzie!?

Bicz świsnął głośniej w powietrzu i gromada żywych wśród pustki ruin pędzona, powlokła się dalej.

— Do roboty! — huknęła komenda, gdy się znaleźli na ogromnych pustych placach, od których wiał dech śmierci.

Piotr się zachwiał, ale go Iza podtrzymała. Julian się też potknął, przytomność tracąc, ale go Marya ocuciła.

Łopaty wypadły im z rąk. Ale strażnicy wetknęli je z powrotem w dłonie i do pracy zapędzili pospołu z resztą ich towarzyszy.

— Więc ci wszyscy ludzie są tutaj — szeptano sobie ze zgrozą.

— A czyż nie wiecie, że w mieście przez długie miesiące rządził Tyfus... Więc wszystkich na mróz bez litości z domów powyganiał... i tu zapędził...

— Tak... tak...

— Ja widziałem co noc wozy... całe wozów kalwakady... A na każdym wozie ciał ludzkich stosy...

— Tak... ja w tej stronie mieszkałem... i także co noc widziałem...

— Mówiono, że po tysiąc na dobę...

— Policzcie teraz... ile miesięcy zimy...

— A toż cała góra ludzkich ciał.

— Mróz trzymał miesiącami... Nie trzeba było lodowni.

— Pewnie... któżby nadążył grzebać te tysiące...

— Do roboty! — huknęła nowa komenda.

Bat świstał w powietrzu, po ramionach smagał. Straż zgorszona nie dawała rozmawiać. Zapędzano do roboty z łopatami.

A ci, co pracować mieli, zaczęli się chwiać... i słaniać... i oczy podnosić w górę...

Niebo nad nimi wisiało brudną chmurą.

— Gdyby to słońce widziało — mruknął ktoś starszy i westchnął.

— Spojrz, oko słońca... na tę górę... zimną, jak lód... a taką życia pełną.

— Spojrz, Słońce! — wydarło się sto westchnień i uniosło w chmur oponę... rozdarło ją na poły... i do Słońca dotarło.

Drgnęły zamrożone ciała, zaczęły się poruszać... jedne z drugich zsuwać... rozprężać.. to kurczyć... dźwigać się i walić jedne na drugie...

Piotr krzyknął. Chciał uciekać, lecz go Iza zatrzymała.

Cała góra ciał ruszała się teraz, jako ten śnieg tający z wiosną.

Krzyk powstał wśród tych, co w rękach mieli łopaty. Jednym jeżyły się na głowach włosy, innym z czaszek oczy na wierzch wyłaziły — szalone od strachu.

A inni padali na te ciała z twarzą tak bladą — jako tamci — i ruszać się przestawali.

Znowu Piotr chciał rzucić się z miejsca i schronić przed tym widokiem, lecz kroku zrobić nie mógł, bo te trupów stosy, co nagle ożyły wkoło niego, trzymały go zewsząd i nie puszczały...

Ten nogami zaplątał się w jego nogi, a ten chwycił go rękami... tamten runął mu głową w brzuch... ów palcami przejechał mu przed oczy.

Aż jęknął Piotr i poderwał się z miejsca. Ale tuż się przewrócił..

Jął się gramolić. Lecz wszystko, czego się tknął, dziwnie było śliskie.

Już nowe ciała, zsuwając się jedno przez drugie, zwalały się na niego... drogę mu zagradzały... i nie puszczały... nie puszczały...

— Puśćcie mnie — darł się głośno, lecz na usta runęła głowa trupa i tak mu je zatkała, że się zaczął dusić.

Z wszystkich sił strącił z siebie kilka ciał i tratując je bez miłosierdzia po twarzach, zaczął uciekać, by się uwolnić od tego wojska trupów, co go więziło.. mroziło.. dławiło...

— Puśćcie mnie! — krzyczał coraz głośniej.

Lecz Iza zatrzymała go uciekającego i krępować go chciała...

Już jej się wydarł znowu... już miał umykać, gdy mu z powrotem zastąpiła drogę i szamotała się z nim rozpaczliwie.

Odepchnął ją z wszystkich sił i rzucił się przed siebie. Lecz się pośliznął i runął.

Uczuł, że upadł w jakąś kałużę krwi i przeląkł się jeszcze bardziej — niźli wprzódy stosami trupów.

— Krew, krew! — krzyczał — ratunku, bo mnie krew zatopi.

Lecz w tej chwili otwarłszy oczy, zobaczył przed sobą bladą twarz Izy i zajrzał wprost w jej oczy zielone. Ocknął się.

Pomagała mu wstać, osuszała go z wody... i co żywo osłaniała płaszczem jego ciało w bieliźnie... A potem zawlokła go i z powrotem na posłanie ułożyła, okryła i ukoiła chorego do spokojniejszego snu...

Właśnie Julian wrócił z Maryą, więc mu jęła swoje przygody opowiadać.

— Ale to już dziś będzie przesilenie — rzekł Alferow.

— No, takiej gorączki jak dziś, nie miał biedak jeszcze przez cały czas tyfusu... Wiesz, Maryo, że myślałam w ostatnich chwilach, iż mu rady nie dam... tak mi się na dwór wyrywał...

— Tak... to już dziś ostateczna walka — mruczał Julian do siebie. — Kryzys... Życie lub śmierć.

— A serce jego słabe... słabe — szeptała Marya.

X.

Węzły mistyczne, co się dokoła dusz ludzkich oplotą, mocniejsze są nad związki krwi i trwalsze niż serc połączenie.

A właśnie takie węzły mistyczne poplątały misternie ten dziwny związek dusz, jaki z sobą stanowili Piotr Nelin z Izą, Maryą i Julianem Alferowem; a przez Izę — z Edwardem i Zygmuntem, przez Juliana zaś jeszcze z jego córką; a wreszcie przez Klaudyę — z matką jej, Adą.

Była to rodzina, która pełniła posłusznie wolę swego przewodnika, a temu na imię było: Duch.

Życie Izy na długo przed tragiczną katastrofą było wielce uduchowione, lecz obcować cudownie ze światem ducha z tamtego brzegu życia — zaczęła dopiero w chwili, gdy przed nią stanął krwawem widmem Zygmunt, on, który jej ducha na skrzydłach harmonii jeszcze przed śmiercią wwiódł w świat ducha — pospołu z Edwardem, który słowem głębokiem poezyi mistycznej ukazywał Izie zaświaty w najponętniejszych barwach.

Nic to, że duch Edwarda, w pierwszych chwilach gwałtownego oderwania się od ziemi, męczył się żalem przyziemnym; że nie mógł odrazu wznieść się wysoko ponad krwi własnej opary.

Mocny był jego duch widocznie, skoro mu tak niewiele trzeba było czasu, by się otrząść ostatecznie z tych chwilowych pożądań powrotu na padoł.

Przemógł wszystko — i zwycięsko uleciał, by wraz z Zygmuntem płynąć już nad ziemią — jako ich pieśń płynęła.

I oto dziś oni obaj — aczkolwiek tak niedawno w skorupie ciała ziemskiego męczyli się i nękali — już mocni są duchem i moc z siebie promieniować mogą; moc, zdolną tworzyć cuda w oczach ludzkich.

A powolnem narzędziem ich potężnej ręki ducha stała się oto Iza — i przez nią całe ich bractwo.

Nazajutrz po ocaleniu rzeźbiarza od rozstrzelania, liczne komisye przebiegały ruiny i zgliszcza i zarośla nadrzeczne, by odszukać, odnaleźć tego, co straszy, tego, co przeszkadza wypełniać wyroki czerwonej władzy; by wyśledzić, co za upiorzyca błąka się tam po nocy i żołdakom zjawia w mrokach...

Bo wśród czerwonych gwardzistów, wśród straży więziennych, wśród komisarzy, skorych do własnoręcznego rozstrzeliwania — odrazu poszła legenda o tych upiorach na miejscu kaźni nad brzegiem rzeki...

Na przyszłą noc nikt tam nie poszedł rozstrzeliwać. Zato szpiegowała tam straż do białego dnia.

Nie odkryto niczego.

Ale kiedy na noc następną kilku zbirów powiodło ze sobą gromadę posłusznych żołdaków, z rozmysłu na to samo miejsce, by stracić trzech starców, pięć kobiet i dwoje chłopiąt — powtórzyło się coś podobnego do owej sceny, kiedy miano tracić Izę.

Bo oto naraz kurcz chwycił za rękę wszystkich z karabinami w dłoni — w tym samym momencie, gdy mieli kurki odwodzić do strzału.

Stali przez chwilę jak porażeni w miejscu.

I znowu byliby przysięgli, że widzieli, jak między lufami karabinów a szeregiem skazańców przechadzała się biała upiorzyca.

Komendant ekspedycyi powtórzył rozkaz kilkakrotnie... raz za razem... ale nadaremnie. Salwa nie padła.

Kazano wszystkim skazańcom uciekać — dokąd im się podoba.

Odtąd rozstrzeliwano już gdzieindziej.

Tam nocami nie padał już ani jeden strzał.

Ale wśród tych, co byli najbliżej czerwonych katów, opowiadano sobie dalej, jak w różnych wypadkach coś niepojętego staje na przeszkodzie w rozstrzeliwaniu.

Gdyby był kto spytał o to Izy, jaki był związek między tem wszystkiem a nią samą, nie umiałaby dać wyjaśnień.

A jednak na rozmowach swoich z duchami Edwarda i Zygmunta słyszała, że dzieją się z nią teraz rzeczy dziwne, dla ludzi cudowne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ernest Eckstein.

# Bal maskowy

Z dziennika młodej mężatki.

---

Rudolf, który dowiedział się od służącego, że jest pani Ilowska, przyszedł do nas, zamienił kilka żartobliwych frazesów i odprowadził ją do drzwi kurytarza.

Miałam więc czas ochłonąć. Ale nie było to łatwo. Na szczęcie Rudolf w powrocie wstąpił jeszcze do swego pokoju, poczem ukazał się tylko na progu z oznajmieniem, że za dziesięć minut towarzyszyć mi będzie na spacer.

Po upływie tego czasu uspokoiłam się zupełnie.

— W gruncie tak filozofowałam — cóż to złego? Niewinny żart, który dostarczy nam materyi do śmiechu, a dobroczynność zapłaci darem baronowej! Już naprzód widzę, jak się rzecz cała odbędzie. I tak: koło szóstej przyjdzie list razem z dziennikami. Rudolf naprzód odczyta go pobieżnie, potem z uwagą, roześmieje się i pośpieszy do swej Alidy, ażeby wespół z nią autorkę tegoż odgadnąć. Gdyby uważał to za mistyfikacyę ubawi się jej nieudaniem. W przeciwnym razie, jeśli by sądził, iż owo oświadczenie miłości zrobiono na seryo, wtedy wzruszy ramionami i ja usłyszę pochlebne zapewne zapewnienie, że serce jego tylko dla mnie uderza, wszystkie czarodziejki są mu obojętne, a szafirowe domino z niebieskiem obszyciem dlań nie istnieje.

Zatem przeszliśmy się troszeczkę; o wpół do czwartej jedli obiad i w najbliższym humorze wypili kawę.

O piątej Rudolf wstał z kołyszącego się fotelu, zapalił świeże cygaro i rzekł podając mi rękę:

— Mam pilne zajęcie na półtorej godziny. Przez ten czas najdroższa odpisz już raz matce. Znam ja dobrze teściowe. Jeżeli jeszcze dłużej zwlekać będziesz odpokutuję to później. Możesz odemnie ukłony dołączyć i wujowi, byle nie Hannie — słyszysz? To sobie wypraszam! Szkaradny bowiem masz zwyczaj improwizować pozdrowienie, tak bez pełnomocnictwa! A więc do widzenia!

— Wyszedł, a ja udałam się do salonu, gdzie stoi mój duży wygodny sekretarz (bióreczko w budoarze jest tylko pro forma) i zaczęłam przewracać w papierach.

Był to list nieco przykry, wiesz, epistoła, w której każde słowo musi być rozważone, ponieważ chodziło o interes, a mama w tych rzeczach jest tak drażliwą! Przed południem już kilka razy pisać zaczynałam, lecz nie mogłam znaleźć odpowiedniego wyrażenia. Teraz zaś gdy serce biło mi w bolesnem oczekiwaniu, a niepokój wzrastał co chwila było to zadanie straszliwe! Dwadzieścia minut siedziałam to zanurzając pióro, to znów rączkę wciskając w zęby.

W końcu z przezwyciężeniem napisałam — vogue la galère! Wykonałam obowiązek, a gdyby się Rudolfowi list nie podobał może go podrzeć.

Wybiło trzy kwadranse na szóstą. O szóstej najpóźniej powinien przyjść listonosz.

Stanęłam w zagłębieniu okna, tam właśnie skąd przed kilkoma godzinami pani Ilowska patrzała na ulicę. Ledwie nie wykrzyknęłam głośno, gdyż w tej chwili listonosz ukazał się na rogu Alicyjskiej alei.

Musiałam usiąść. Przestrach ubezwładnił mi członki. W trzy minut potem zadzwoniono. Słyszałam jak portier otworzył, odebrał pocztę i udał się do pokoju męża.

Słuchałam bojąc się oddychać.

Skazówka zegara bronzowego stanęła na szóstej. Mechanicznie policzyłam uderzenia dziwnie straszno rozbrzmiewające w pustym salonie.

Zewnątrz nic się nie poruszyło.

— Rudolf — rzekłam do siebie — pewnie się w studyowaniu Stuarta Milla tak zagłębił, iż nie zważa na przyniesione pisma. Choć oczywiście, wiedziałam doskonale, że to nie było jego zwyczajem. Świeże dzienniki odrywały go zwykle od najpilniejszego zajęcia.

Piętnaście minut po szóstej; — pół do siódmej — pięć minut po pół; — ciągle żadnego znaku życia.

Można było oszaleć. Dotąd wzruszoną byłam z niecierpliwości, teraz okropna myśl wstrząsła mną do głębi: A jeśli pani Ilowska miała słuszność?

Wyobraziłam sobie sytuacyę w najokrutniejszych barwach.

Rudolf zawachawszy się chwilę nabrał przekonania, iż w istocie chodzi tu o oświadczenie miłości uroczego sentymentalnego nieco stworzenia, które prawa serca wyżej stawia nad przykazania konwencyonalnej moralności. W ten sposób postanowił tajemniczą piękność poznać przynajmniej.

Możesz sobie wyobrazić droga Olesiu, jak myśli te mnie torturowały. Oblicze moje płonęło, serce ściskało się; owijałam kurczowo chusteczkę o drżące palce.

Wtem nareszcie drzwi jego pokoju poruszyły się na zawiasach.

— Ubieraj się już dziecię drogie — rzekł, stanąwszy na progu — ciotka Helena jak wiesz, jest pedantką.

— O! za chwilę będę gotową — żywo odpowiedziałam.

Starałam się ile możności być naturalną — czy mi się to udało? nie wiem, on zato, niebo biorę za świadka, okazał przerażający komedyancki talent: Niewinniątko! Nie przyniósł zwodniczego biletu, ażeby wspólnie żartem się ubawić, nie wspomniał nawet o otrzymaniu tegoż, ani nie zdradził pomieszania, tego najmniej się spodziewałam.

W pierwszej chwili byłam oburzoną. Później uspokoiłam się zwolna. Może — mówiłam do siebie — uważa to za błahostkę, a może lęka się wzruszyć Alidę swoją. Tak — tak niezawodnie! List pewnie już spoczywa w koszu papierowym podarty na szczątki — i cała sprawa skończona. O tem mogę się przekonać! Natychmiast nawet.

I gdy Rudolf poszedł do ubieralni, wsunęłam się lekko, bez szmeru, do jego gabinetu.

Drżącą ręką przerzuciłam papiery w napół zapełnionym koszu. W kilka minut wszelako przekonałam się o smutnej prawdzie, iż nieszczęśliwy mój bilet-doux *nie* znajduje się pomiędzy szczątkami pism i listów.

Ale jeszcze jedna pozostała mi nadzieja: wszakże przez szczególną ostrożność mógł list spalić. Bojaźliwie, jak gdybym uczynić miała coś zdrożnego, otworzyłam bronzowe drzwiczki od pieca. Nie było tam żadnej iskry. Kilka wygasłych węgli i zbielały popiół — oto wszystko.

Ach! Olesiu! W tej chwili zdawało mi się, iż ujrzałam symboliczne wyobrażenie szczęścia mego! Z ciężkim smutkiem udałam się do swego pokoju, gdzie już Klara na mnie oczekiwała. Klara, znasz ją, szkaradne ma przyzwyczajenie „zapominać o swem stanowisku“ (słowa ciotki Heleny) tak dalece, że podczas fryzowania mnie opowiada różne głupstwa, plotki miejskie i podobne nie dorzeczności... Ale ponieważ w innych względach jest bardzo skromną, nic jej za to nie mówię. Tym razem wszelako przywiodła mnie do rozpaczy. Jak gdyby wiedziała, co mnie zajmuje głównie, rozpoczęła fatalną rozmowę, posuniętą aż do niedorzeczności. Tak zawsze się trafia.

— Wielmożna pani słyszała już?... — zagaiła, biorąc żelazko z maszynki (bo musisz wiedzieć Olesiu, iż krótkie włosy na karku, które nie dadzą się podczesać, zapiekać sobie każę). — Wielmożna pani słyszała? Hrabina Terska niespodziewanie dziś odjechała do Petersburga bez pożegnania.

— Tak? — odparłam obojętnie.

— A wielmożna pani nie zgaduje dlaczego?

— Dlaczegoż?

— Hrabina w paletocie pana hrabiego znalazła niebieski bilecik — miłosny bilecik od chórzystki z opery! Gdyby to była choć panna Adrian, albo inna jaka sławna śpiewaczka! Ale to takie zwyczajne, bez talentu stworzenie! Zresztą: piękną ma być co prawda, bardzo piękną.

— Klaro, muszę cię prosić — rzekłam silnie zarumieniona, bowiem wyobraziłam sobie, iż ta niedorzeczna wścibska w paletocie mego męża może ów zdradziecki bilet wynaleźć i mieć śmiałość... Myśl była okropną.

— Przepraszam bardzo — uśmiechnęła się, podczas gdy małe jej okrągłe palce fryzurę mi piętrzyły, lecz myślałam, że wielmożną panią będzie to interesować. Poprzednia moja chlebodawczyni baronowa Rolfrode, zwykle mawiała: „My kobiety w cierpieniu wszystkie jesteśmy sobie równe“. A to musi wielmożna pani przecie pozwolić, że hrabina Terska jest prawdziwym aniołem dobroci i piękności... Trudno pojąć, dlaczego jej się to właśnie zdarzyło!

Westchnęła, ażeby zaraz potem rozpocząć inne opowiadanie. Mnie jednak coraz było smutniej i ciężej na sercu. Paplanina dziewczyny złym prognostykiem mi się wydawała. Myślałam sobie: Prędzej czy-później taki los cię czeka jak hrabinę Terską, a samaś sobie go sprowadziła! Wiadomo bowiem: niechno raz tylko lew krwi pokosztuje!... Z początku złudzenie go rozdrażni, potem naturalnem następstwem rzeczy przyjdzie na myśl, że jednak byłoby to wybornem, a w końcu...

Niedługo będę czekać na rozstrzygnięcie. Jeżeli przystanie na propozycyę bezimiennego listu, w takim razie najpóźniej jutro coś wymyśli, co mu umożebni dotyczącego wieczora dom opuścić bezemnie.

Tak sądziłam przynajmniej.

Niestety! oszukałam się. Dziś w niedzielę, a zatem w dwa dni po odebraniu biletu Rudolf jest tak obojętny, tak spokojny, jakby nie widział go na oczy. A przecie pani Ilowska zaręcza, że natychmiast wrzuciła list do skrzynki. O maskowym balu nie mówi ani słowa. Wczoraj u ciotki Heleny siedział przy stole obok pani Ilowskiej. Oboje bawili się doskonale. Baronowa kilka razy spojrzała ku mnie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Któż miał słuszność?“ Na schodach nieznośna szepnęła mi do ucha: maleńka miłosna awanturka zdaje się go elektryzować! Był uosobioną uprzejmością, dowcipem!...

Słyszę jego kroki w przedsionku! Zatem na dzisiaj dosyć. Bądź zdrową ma petite magnonne! Całuję cię w prześliczne niebieskie oczy! Oby los oszczędził ci podobnego wzruszenia!

18 Stycznia, wtorek.

Stało się, jak przepowiedziałam. Niewierny! Gdy sobie pomyślę, że kocham go nad wszystko w świecie, niewypowiedzianie, niezmiernie, że każda myśl, każde uderzenie serca mego do niego należy — a teraz! Ach! to okropne!

Ale pozna on mnie! Gdy go szczęśliwie zdemaskuję, gdy stać będzie przedemną blady i drżący z przeświadczeniem swej winy, wtedy — hm — wtedy cóż pocznę?

Mamże wyprawić scenę wpośród sali balowej?

Byłoby to w złym smaku, nawet gdyby scena dyskretnie się odegrała!

Odwrócęż się od niego i na własną rękę się zabawię? Lecz będęż mogła tańczyć z zakrwawionem sercem, udając obojętność? — Może!

Gdy zobaczy, że absolutnie go do szczęścia nie potrzebuję, skruszy się w końcu i poprosi mnie o przebaczenie! Ach! musi przecież przyznać, jak ciężko zgrzeszył przeciw swojej Alidzie!

Dziś rano — siedzieliśmy właśnie przy herbacie — rozpoczął szkaradną intrygę. Co tylko napełniłam mu po raz drugi filiżankę, przyczem śliczny kawałek zimnej baraniny, ulubionej jego potrawy, położyłam mu na talerz, gdy z przerażającą obojętnością wrzucając dwa kawałki cukru do herbaty, stanowcze słowo wymówił: Apropos Liddy — jeżeli jest zadowolony i swobodnie gawędzi, nazywa mnie „Liddy“, od czasu mianowicie, gdy czytał w „Rundschau“ śliczną nowelę — a propos Liddy — mam ci coś nieprzyjemnego oznajmić. Z kostyumowego balu oboje nie będziemy korzystali. Inspektor... hm — ale gdzież list ten podziałem (dotknął się jednej i drugiej kieszeni), choć to właściwie jest obojętnem. Inspektor pisze mi, że jutro koniecznie muszę być w Oelzhausen. Idzie o sprzedaż kawałka lasu koło młyna. Jak wiesz, sprawa ta od kilku tygodni jest w toku, ale nasz sąsiad zdaje się być nader rozważnym i przemysłowym, dlatego inspektor nie chce się obarczać ukończeniem interesu. Więc — ale proszę cię Liddy, robisz mi taką twarz, jakby ci grad pietruszkę potamał! Istotnie Alida, miałem cię za stateczniejszą i roztropniejszą! Przecie zamężna kobieta niewiele traci, gdy ją ominie żart karnawałowy! Mimo najlepszej chęci nie mogę tego zmienić.

Wypowiedział to wszystko swobodnie, jakby było najczystszą prawdą, a mnie serce pukało coraz głośniej. Dla pokrycia pomieszania, którego na razie nie mogłam opanować, zajęłam się samowarem, po chwili dopiero odparłam:

— Przykro mi Rudolfie! bo ten Oelzhausen psuje nam cały sezon. Zdarza się to już po raz piąty...

— Mój Boże! cóż naturalniejszego? Obowiązki powołania pierwsze są niż zabawy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kronika tygodniowa

Ponieważ przesilenie gabinetowe w Warszawie przeciąga się w nieskończoność, a obecnie toczą się debaty nad tem, jakie są proregatywy Naczelnika Państwa przy zwalnianiu gabinetu i powoływaniu nowego, w tym tygodniu, aby nieco odetchnąć, damy spokój polityce, a zabierzemy się do innego, również bardzo wdzięcznego tematu. O polityce zagranicznej niema również nic do mówienia i pisania, gdyż panuje tam zupełny zastój, a ożywienie nastąpi dopiero po otwarciu obrad konferencyi w Hadze.

Na porządek tygodniowy wysuwa się natomiast inna bolączka, stokroć dotkliwsza od politycznej, mianowicie lichwa żywnościowa, ubraniowa i mieszkaniowa, prześladująca ludzkość, a zwiększająca się z dnia na dzień i to od chwili powołania do życia Nadzwyczajnego Komisaryatu do walki z drożyzną. Ludzie nie nauczyli się jeszcze obchodzić bez jedzenia, obyczajność nie pozwala na pokazywanie się publiczne w stroju Adamowym, trzeba mieć bodaj kawałek dachu, choćby nawet i dziurawego nad głową, a, aby podołać wydatkom w tym kierunku, powinno się być co najmniej milionerem. Przed kilku dniami zmusiły okoliczności kronikarza do zaspokojenia głodu po za domem. W tym celu udał się do pewnej restauracyi przy ulicy Floryańskiej, gdzie zamówił kotlet wieprzowy. Przyniesiono mu porcyjkę mikroskopijnie małą, nie wiele większą od dawnego czworaka, a stanowczo od niego cieńszą z dodatkiem połowy ziemniaka pokrajanego na plasterki. Aby głód zaspokoić należałoby spożyć takich porcyi przynajmniej pięć, z kilograma wieprzowiny zrobi się ich z pewnością co najmniej dwadzieścia. Wstał zupełnie głodny, ale wnet pozbył się tego uczucia, gdy mu kazano zapłacić za tę przyjemność dla oczu (żołądek niewiele skorzystał...) tylko... czterysta marek. Opuścił lokal z westchnieniem na ustach: „Gdzie jesteś, o Urzędzie walki z lichwą?"...

Gdy przed znajomymi narzekał na podobne zdzierstwo, tydzień bowiem przedtem za coś podobnego policzono mu w pewnej jadłodajni w Rynku tylko trzysta marek, a jedzenia było stanowczo dwa razy więcej, ci wytłómaczyli mu, iż widocznie wzięto go za przejezdnego, a dla takich ma się ceny wyjątkowe.

Z notatek kronikarskich w pismach codziennych dowiedzieliśmy się, że w ubiegły piątek pojawiły się na targu młode ziemniaczki, po czterysta marek za kilogram, co jednak nie odstraszyło amatorów nowalijek i ziemniaczki rozkupione zostały w przeciągu kwadransa.

Czy w podobnych warunkach przeciętny śmiertelnik, pobierający za swą ciężką pracę miesięcznie pięćdziesiąt tysięcy marek, a mający do tego na głowie rodzinę, może sobie pozwolić na podobny wybryk ?... Absolutnie nie, nie otrzymałby za to rozgrzeszenia przy najbliższej spowiedzi i usłyszałby admonicyę, że nie powinien marnotrawić lekkomyślnie ciężko zapracowanego grosza. Panowie Lichwiarski i Paskowicz mogą sobie na coś podobnego pozwolić, nie pójdą też ze skargą do Urzędu walki z lichwą, wychodząc z zasady „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło", a wzmożone wydatki pokryją sobie ze swych dochodów w czwórnasób.

Z sprawami odzieżowemi ma się rzecz podobnie. Przechodząc ulicą i przyglądając się wystawom, stwierdza się na własne oczy, jakiej zwyżce podlegają artykuły, należące do okrycia cielesnej powłoki. W handlu ubrań gotowych męskich ten sam garnitur, który tydzień temu kosztował czterdzieści tysięcy, dziś już kosztuje pięćdziesiąt, a rychło patrzeć, jak dojdzie do stu. Kupcy narzekają, że mają kłopot z ciągłem zmienianiem kartek z cenami i muszą do nich ustawicznie dopisywać nowe zera, oczywiście w tem miejscu, gdzie one mają swoje znaczenie. Coś podobnego powiedzieć można o bieliźnie, obuwiu i t. p., aby sobie pozwolić na wypranie kołnierzyków w pralni, musi się wyrzec kilku obiadów w miesiącu, gdyż w przeciwnym razie zamknie się budżet deficytem.

A teraz kolej na mieszkania.

Na tem polu uprawiają kamienicznicy i podnajmujący lokatorzy tak bezczelny wyzysk, że poprostu wierzyć się nie chce, iż w człowieku, stworzonym na obraz i podobieństwo boskie, może się mieścić tyle zachłanności. Rok temu słynną była w Krakowie pewna pani, właścicielka kamienicy przy ulicy Zygmunta Augusta, która za wynajęcie umeblowanego pokoju zażądała dziesięć tysięcy marek, oraz pewnego *quantum* cukru i węgli, skutkiem czego weszła w konflikt z władzami tępiącemi lichwę, które nazwisko tej dobrodziejki ludzkości podały wdzięcznej pamięci potomnych. Przykład jej nie podziałał widocznie odstraszająco, skoro coś podobnego czytaliśmy niedawno o podgórskim kupcu, Sosence, a przed kilku dniami o obywatelu krakowskim, p. Antonim Teslarze, skazanym na miesiąc więzienia i pół miliona grzywny za zażądanie od dwu akademików za pokój umeblowany czynszu miesięcznego w wysokości dwudziestu trzech tysięcy marek. Pan Teslar, były kuchmistrz hr. Potockiego, znany także w naszej literaturze gastronomicznej, jako autor „Przepisów kucharskich", tym razem stanowczo przesolił!

Kto ma większe mieszkanie i może z niego odstąpić bodaj jeden pokój, a nie boi się odpowiedzialności, może zrobić kokosowy interes, podnajmujący jednomiesięcznym czynszem zapłaci mu mieszkanie za cały rok i jeszcze coś niecoś gotowizny zostanie w kieszonce. Powołują się wprawdzie ci paskarze mieszkaniowi na wysokie ceny hotelowe, ale zapominają widocznie o tem, że przedsiębiorca hotelowy płaci bardzo słone podatki i ma wydatki, jakich oni nie ponoszą. Dziś można bardzo łatwo zrobić majątek ustępując komuś mieszkania, tą tylko drogą można znaleźć dach nad głową, jeśli bowiem kto sądzi, że dopomoże mu miejski Urząd mieszkaniowy, ten się grubo myli. Rozporządza on wprawdzie całym legionem funkcyonaryuszy i prowadzi listę zapotrzebowań mieszkaniowych, długą, niczem litania do Wszystkich Swiętych, wykaz wolnych mieszkań przedstawia się zawsze jako *carte blanche*, nigdy nie rozporządza ani jednem wolnem Trzeba jednak przyznać, że urząd ten obchodzi się bardzo delikatnie zwłaszcza z radcami miejskimi i ich rodzinami, nie następując im bynajmniej na pięty i nie szukając wolnych mieszkań, tam gdzie możnaby je znaleźć.

Jednemu z naszych znajomych, poszukującemu mieszkania, wydawało się, że skończą się jego kłopoty, gdy w pewnem codziennem piśmie wyczytał anons następującej treści:

„Pokój kawalerski, słoneczny, z widokiem na kopiec Kościuszki w pryncypalnej dzielnicy miasta za przystępną cenę do wynajęcia. Łazienka w miejscu, wodociąg w pokoju, na żądanie mebla i obsługa. Wiadomość w Administracyi dziennika".

Bojąc się, aby go kto nie uprzedził, pospieszył do Administracyi i tam podano mu adres, kierując go na jedną z ulic Sródmieścia. Już tutaj zrodziły się pewne wątpliwości w jego mózgownicy, jak połączyć ów widok na kopiec z podanym adresem, tłómaczył sobie jednak, że najprawdopodobniej tam mieszka właściciel, mieszkanie przeznaczone do wynajęcia znajduje się zaś w innej dzielnicy, bardziej od Sródmieścia oddalonej. Gdy przybył na miejsce i zgłosił się u wynajmującego, ten oświadczył gotowość zaprowadzenia go do owego pokoju i, nie biorąc wcale kapelusza, wyszedł z nim na podwórze, a następnie do oficyn, gdzie na parterze otworzył drzwi, wiodące do ciupki, liczącej kilka metrów kwadratowych powierzchni.

— Oto pokoik, zaciszny, milutki, będzie panu w nim jak w raju!... — mówił słodkim głosem.

— W anonsie czytałem, że pokój słoneczny, z widokiem na kopiec... — wyraził przybysz swe zdziwienie.

— Słoneczny on jest, gdyż na przeciwległej ścianie podwórza odbijają się promienie słoneczne i tutaj dochodzą, co zresztą oddziała korzystnie na pański wzrok — tłómaczył gospodarz. — Co się zaś tyczy widoku na kopiec, widzi go pan dobrodziej w całej okazałości!... — i wskazał na umieszczoną w środku sufitu podobiznę, którą człowiek, obdarzony bujną fantazyą, mógł ostatecznie uznać za kopiec Kościuszki.

— Uważam, że okno się nie domyka... — skonstatował przybysz.

— Tak!... ale to tylko ze względu na dobro lokatora... Nie potrzebując otwierać okna, będzie pan dobrodziej mieć w pokoju zawsze świeże powietrze... A nie potrzebuję chyba mówić, jak to niebezpiecznie w dzisiejszych czasach pozostawić otwarte okno i narazić się na odwiedziny rzezimieszków...

— Piec nie dymi przypadkiem?

— Owszem...

— Zawsze?

— Ależ, broń Boże!... Tylko wtedy, gdy się w nim pali!... Ale za to nie będzie pan dobrodziej miał ani jednego mola w mieszkaniu!... Niech się jaki tylko pokaże, zginie marnie... Może pan dobrodziej bez obawy porozwieszać najdrogocenniejsze makaty i kilimy...

— Nie widzę także wejścia do łazienki...

— Łazienka jest wprawdzie na miejscu, ale w innem mieszkaniu...

W tej chwili padły oczy kandydata na lokatora na wodociąg, znajdujący się w samej rzeczy w pokoju. Zauważył brak kurka i zwrócił na to uwagę właściciela.

— To, panie dobrodzieju, następstwo wojny!... Jako patryota, przy rekwizycyi metali na potrzeby wojskowości ofiarowałem złamsną klamkę mosiężną i dwa kurki od wodociągu... I myśli pan może, że te austryackie łajdaki uznali to?... Nie dali orderu, nie powiedzieli nawet dziękuję...

— Jakże w takim razie odkręcać i zakręcać wodociąg?

— To byłoby wogóle bezcelowe, gdyż przed trzema laty, gdy pękła rura wodociągowa, kazałem go wyłączyć i takim pozostał dotąd, bo chyba pan łaskawy wie, jak się dziś drogo płaci podobne naprawki...

— A jakiż czynsz za ten pokoik?

Nie pokoik, lecz salonik!... Jak dla pana dobrodzieja, gdyż mi się pan bardzo spodobał, tylko piętnaście tysięcy marek miesięcznie...

— A gdybym potrzebował mebli?

— Mebelki, znalazłyby się, choć się ich tu dużo nie zmieści... Łóżeczko, stolik, dwa stołeczki. nie policzę drogo, jak przed wojną, trzy guldenki miesięcznie, co zamieniwszy na zapałeczki, wyniesie dziesięć tysięcy mareczek... Salonik zatem wraz z mebelkami razem dwadzieścia cztery tysiące... Niech mnie Pan Bóg skarze, jeśli nie oddaję tego za półdarmo, jak brat bratu, ale, powtarzam, spodobał mi się bardzo pan kochany i, sądzę, będziemy ze siebie zadowoleni... Co się zaś tyczy obsługi...

Kandydat na lokatora nie chciał jednak dalej słuchać i, nie pożegnawszy się nawet, pozostawił gospodarza w jego saloniku.

Wracając do swego mieszkania, mruczał kamienicznik pod nosem:

— I chciej tu ludziom zrobić dobrze!... Nietylko nie spotkasz się z uznaniem, ale narazisz się jeszcze, że cię obabrzą w gazetach i nazwą wyzyskiwaczem, choć bowiem ten facet otwarcie mi tego nie powiedział, wyczytałem z jego oczu, że to ma na myśli...

Takich panów kamieniczników mamy niestety, aż nazbyt wielu. Każdy z nich chciałby chętnie dopomódz cierpiącym na brak mieszkania, ale przy tej sposobności obłowić się też należycie i odbić sobie te kilka lat wojennych, kiedy to tak prześladowała biedaków „Ochrona lokatorów". Pierwszym plastrem na zbolałe ich serce były tak zwane dodatkowe świadczenia, drugim jest obecna ustawa mieszkaniowa, nie dająca im wprawdzie jeszcze pola do pełnego popisu, lecz posiadająca tyle furtek, iż łatwo znaleźć wyjście i obejść ją bez obawy narażenia się na odpowiedzialność. Znak to widoczny, że w układaniu i uchwalaniu jej brali udział także i kamienicznicy, dołożyli też starań, aby towarzysze ich niedoli, obciążeni dziedzicznie nieruchomościami, nie ponieśli przypadkiem szkody.

Skoro już w obecnej kronice wzięliśmy sobie za zadanie trzymać się zdala od polityki, pozostaniemy mu wierni do końca i raczej poświęcimy kilka słów pogodzie, która w tym roku, przyznać trzeba, dopisała najzupełniej. Swięci Pankracy, Serwacy i Bonifacy obeszli się z nami bardzo łaskawie i nie przynieśli ze sobą rannych przymrozków, które corocznie tak fatalnie oddziaływały na budzącą się do życia wegetacyę, zwłaszcza zaś na rośliny strączkowe. Nie przeszkadza to jednak, iż ceny wczesnych jarzyn, jak już zresztą wyżej wspominaliśmy, dochodzą wysokości dotąd u nas nieznanej. Także i św. Medard nie rozmazgaił się, jak to czynił z zasady corocznie, kto zatem wybrał się na świeże powietrze w pierwszym okresie, może sobie powiedzieć, że zrobił terno, nie wiadomo bowiem, co przyniesie lipiec i sierpień, właściwe miesiące wakacyjne. Nie jest wykluczone, że właśnie na czas żniw przypadnie okres deszczowy, aby agraryusze nie mieli powodu obniżenia cen, owszem, mogli je jeszcze bardziej podnieść.

Przednowek w każdym razie przetrzymaliśmy już jakoś szczęśliwie i cała nadzieja nasza w pomyślnie przeprowadzonych żniwach, które na ogół zapowiadają się doskonale. W normalnych warunkach powinny wobec tego już obecnie uledz zniżce ceny artykułów spożywczych, tymczasem właśnie te działy aprowizacyi, które stoją w bezpośrednim stosunku z rolnictwem, pozostawiają bardzo wiele do życzenia. Mięso i pieczywo, te najniezbędniejsze artykuły spożywcze, drożeją z dnia na dzień, choć powinno być przeciwnie, a rzeźnicy i piekarze są poprostu niewyczerpani w wyszukiwaniu powodów, motywujących te ustawiczne zwyżki.

czone chóry pod wytrawną batutą znakomitego dyrygenta p. Piotra Maszyńskiego, wywiązały się z zadania doskonale.

W poniedziałek rano zebrali się w Filharmonii delegaci przybyłych do Warszawy stowarzyszeń śpiewaczych w celu omówienia spraw Wszechpolskiego Związku Śpiewaczego. Na przewodniczącego wybrano p. Henryka Opieńskiego oraz p. D. Toth'a, na dzierżącego zaś pióro p. W. Lachmana. Po referacie p. Z. Kaczyńskiego i dłuższej dyskusyi uchwalono upoważnić powstający w Warszawie mazowiecki Związek kół śpiewaczych do zwołania delegatów wszystkich poszczególnych związków i poddania pod obrady oraz zadecydowania sprawy utworzenia Wszechpolskiego Związku.

O godzinie 12 w południe odbył się dalszy ciąg popisów chóralnych. Do apelu stanęło drugich 19 chórów. Publiczność zgotowała serdeczną owacyę zasłużonemu nestorowi naszego pieśniarstwa, p. Piotrowi Maszyńskiemu i z entuzyazmem witała naszych dzielnych braci ze Śląska i Westfalii, poczem żywiołowo ze wszystkich piersi zabrzmiała „Rota". — Chwila ta pozostawiła w sercach wszystkich niezatarte wrażenie.

Po ukończonym koncercie prezes Gł. Komitetu Wykonawczego, bar. L. Kronenberg, podziękował śpiewakom, a gdy sędziowie konkursu, którym przewodniczył prof. Niewiadomski z sekretarzem Związku Muzyków Polskich prof. St. Bursą z Krakowa, weszli na estradę, odczytano rezultat głosowania. Komplet głosów (220) otrzymał chór krakowski „Echo", 219 gł. „Harfa", 211 gł. „Chór oficerski" i 204 gł. chór męski „Lutnia" z Warszawy, 200 gł. Stow. „Bard" ze Lwowa, innym stowarzyszeniom przypadła mniejsza liczba głosów.



**Budowa II. Domu Techników we Lwowie:** Młodzież techniczna zajęta kopaniem dołów na wapno.



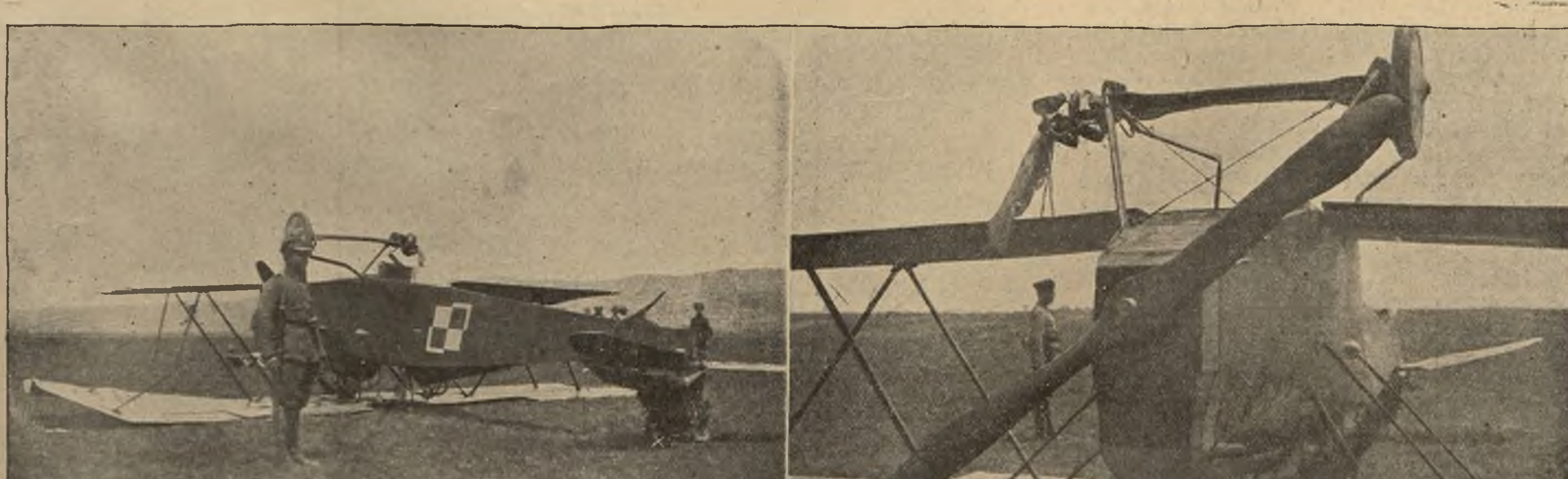
**Prezydent Masaryk na manewrach:** Prezydent Masaryk z swym orszakiem na polu ćwiczeń wojskowych pod Pragą.

## Zjazd b. uczniów gimnazyum częstochowskiego.

Mury gimnazyum częstochowskiego, które przez szereg lat miało za zadanie wychowywać młodzież polską na lojalnych obywateli państwa rosyjskiego, a dziś budzi w niej ducha narodowego, gościły w dniu 4. czerwca b. r. zjazd byłych uczniów Polaków i maturzystów z r. 1904., którzy należeli w owych latach niewoli do Kółka samokształcenia młodzieży postępowej. Rosyjski system zabijał i gnębił ducha narodowego, ówczesna młodzież krzepiła go w tajnych organizacyach, mających na celu gruntowne zapoznanie się z polską historyą i literaturą. Narażając się na wielkie niebezpieczeństwa garnięto się ochoczo do nauki pod kierunkiem zacnych i poświęcających się dla młodzieży pedagogów i tym to właśnie organizacyom kulturalnym zawdzięczają Polacy Kongresówki, że zdołali zwycięsko pokonać trudności, jakie im na drodze życia narodowego stawiała niewola rosyjska.

Tegoroczny zjazd, pierwszy tego rodzaju, rozpoczął się nabożeństwem w kościele Panny Maryi, odprawionem przez ks. prefekta prałata Ciesielskiego, jednego z nielicznych, pozostałych jeszcze przy życiu, ówczesnych kierowników młodzieży. Przybyło tylko trzydziestu pięciu b. wychowanków częstochowskiego gimnazyum, zebrani na tegorocznym zjeździe postanowili zorganizować silnie wszystkich swych byłych młodszych i starszych kolegów, rozprószonych szeroko po świecie, w jeden silny związek, co ma nastąpić w ciągu lat trzech, dzielących ich od terminu ponownego najbliższego spotkania.

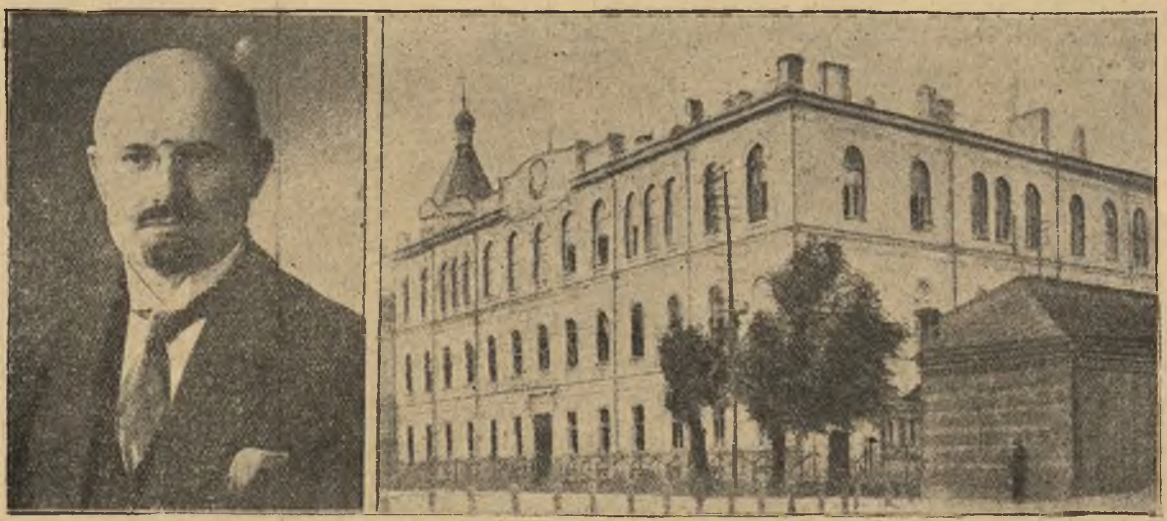
Po nabożeństwie zebrano się w sali fizykalnej budynku gimnazyalnego, gdzie do zebranych przemówił jeden z kolegów, dr. Julian Łapiński z Olkusza, witając ich, jak również jedynego obecnego z pośród grona ówczesnych Polaków profesorów, ks. prałata Ciesielskiego, niemniej też i obecnego dyrektora gimnazyum p. Wacława Płodowskiego. Po uczczeniu pamięci zmarłych pedagogów, z pośród których szczególnie serdeczne wspomnienie poświęcono śp. Markowi Marcelemu Wigurskiemu, rzucono myśl utworzenia wieczystego funduszu na cele kształcenia młodzieży częstochowskiego gimnazyum im. H. Sienkiewicza, na co złożono na miejscu 292 tysiące marek, zdeklarowano zaś 998 tysięcy, które mają być wpłacone w przeciągu pół roku. Fundusz ten nosić będzie imię śp. Marka Marcelego Wigur-



**Katastrofa lotnicza w Nowym Targu:** Aparat systemu włoskiego, który w dniu 9 czerwca br. uległ katastrofie, według zdjęcia dokonanego na miejscu wypadku w dwadzieścia minut po katastrofie. Na pierwszej ilustracyi oznaczone krzyżykiem miejsce, gdzie por. Zawadzki przygnieciony został skrzydłami samolotu.

skiego, a wzrośnie niewątpliwie dzięki poparciu tych, którym dobro młodzieży naszej leży na sercu.

Po dalszych przemówieniach, odczytaniu listów b. profesorów, którzy na zjazd przybyć nie mogli i żałobnej manifestacyi ku czci nieżyjących już kolegów, zwiedzono budynek gimnazyalny pod kierownictwem obecnego dyrektora, w czem uczestniczył ks. prałat Ciesielski i ówczesny woźny gimnazyalny, Szymon Planeta. Szczególniejszą uwagę przybyłych zwróciła na siebie otwarta w tym czasie Wystawa prac uczniowskich, wykazująca różnice ówczesnego i obecnego systemu wychowania.



**Nasi wschodni sąsiedzi:** Prezydent Republiki Zachodnio-litewskiej, zarazem przewodniczący Ustawodawczego Zgromadzenia Narodowego, Stulginskis, obok budynek Zgromadzenia Narodowego w Kownie.

## Muzycy i śpiewacy polscy na odbudowę zniszczonej kopuły św. Piotra w Krakowie.

Gdy z końcem grudnia 1921 szalony wicher zniszczył kopułę starodawnego historycznego kościoła św. Piotra w Krakowie, w którym mieści się tyle cennych pamiątek oraz grób ks. Piotra Skargi, służącego zarazem za kościół garnizonowy dla załogi krakowskiej, na pomoc po tej katastrofie pospieszyli przedewszystkiem śpiewacy i muzycy nasi, a datki dobrowolne publiczności podczas produkcyi tychże na chórze kościoła przyczyniają się niemało do odbudowy kopuły. Kościół co niedziela i święto pomieścić nie może publiczności, która spieszy tłumnie, by modlić się przy dźwiękach pięknej muzyki kościelnej. Kieruje nimi od początku z wielką gorliwością, umiejętnością i artystycznym smakiem pianistka prof. Ludwika Grodzicka. Dotąd odbyły się 33 koncerty kościelne. Pierwszej światowej sławy artyści, oraz także młodsze siły spieszą z chęcią, by pomódz w tym pięknym i zbożnym celu. Słyszeliśmy dotąd śpiewaków: pp. Bandrowską Osmecką, Bigôt, Bursę, Dolężankę, Golińską, Grodzickich, Hofmanową, Jakubowską, Jaworzyńską, Jefimcewę, Kniaginina, Koniorównę, Lewicką, Marek-Onyszkiewiczową, Mazanka, Mazurka, Mrozicką, Mściwojewską, Pastównę, Stróżyńską, Szczerbińską, Szafrańską, Tekelego, Walewskiego, Wędrychównę, Wragę, Zbigniewiczównę. Na skrzypcach grali prof. Bobilewicz, Gachè, Kłosiński, Kozłowski, Peters, Pichor, Rausch, dr. Solecki, Wilkosz, Zamorski; na wiolonczeli prof. Skarzyński, dr. Rolanowski; na organach prof. Barański, Flasza, dr. Grafczyńska, Grodzicka, Łakocińska, Konior, Sokołowski, Swierzyński, Walewski. Chóry śpiewały: Akademicki (dyr. Klimczyk), prof. Bursy, Lutni (dyr. prof. Konior), Operowy (dyr. Walewski) Oratoryjny (dyr. Garbusińsk), Poczty i Telegrafów (dyr. Eckhardt), Rękodzielniczy (dyr. Kozłowski), Sem. naucz. męskiego (dyr. Konior). Orkiestry grały: 20 pp. (dyr. Zamorski), Sp. Tramwajowej (dyr. Tesarzyk), 5 P. A. C. (dyr. Maleczek) Akcya ta artystyczna dalej będzie trwać aż do wykończenia kopuły, na co potrzeba wiele milionów.

Na fotografii widzimy oprócz grupy słynnych artystów, dyrygentów i młodszych solistów, księdza jenerała Niezgodę, płk. Beckera, dowódcę O. W., ks. Jana Budę, którego wielkie zasługi dla odbudowy kopuły św. Piotra są powszechnie znane. Oby przy pomocy takich działaczy oraz publiczności wielkie a trudne to dzieło było w najkrótszym czasie wykończone, aby deszcz i wpływy atmosferyczne nie niszczyły wnętrza kościoła.

## Budowa II. Domu Techników we Lwowie.

Rozpoczęta 14 maja br., z prawdziwie amerykańskim rozmachem, postępuje budowa II. Domu Techników stale i systematycznie naprzód. Codziennie wczesnym rankiem przemyka się na budowę „szara gromada“ braci technickiej, która porzuciwszy własnowolnie salę wykładową, chwyciła za łopatę i taczkę, by co prawda nie nawykłą, lecz ochotną i krzepką dłonią prowadzić rozpoczęte dzieło. Już miesiąc trwa ten wysiłek, a wykopane doły, wyrzucone i wywiezione blisko tysiąc metrów kubicznych ziemi, przeważnie rumowiska, świadczą o jego intenzywności. Z dniem każdym rosną stosy zwożonej cegły, piasku i innych materyałów budowlanych, ofiarowanym przez znane przedsiębiorstwa budowlane. Podziwiać naprawdę można to zaparcie się techników, gdy widzi się ich wyrzucających żużlem, wśród gęstych i dusznych kłębów kurzu i pyłu, drogę od ulicy Kadeckiej, by umożliwić dojazd na miejsce budowy ładownym, ciężkim samochodem towarowym, zwożącym bądźto z Persenkówki, bądźteż z innych peryferyi Lwowa materyał budowlany. Postawiony na miejscu budowy barak rozrósł się obecnie, by pomieścić herbaciarnię, która dzięki poparciu pań lwowskich, tych stałych opiekunek naszej młodzieży, została otwartą i wiernie na budowie technikom asystuje. Doprowadzony wodociąg dostarcza wody, zaś wykopane i wyszalowane doły zapełniają się stale gaszonem wapnem.

Nie wątpimy, że społeczeństwo nasze, widząc to borykanie się młodzieży z zawistnym losem, pospieszy z wydatną pomocą finansową i materyalną. Datki na ten cel składać można na konto „Budowa II. Techników“ w Banku Hipotecznym we Lwowie lub na konto czekowe Nr. 143.172.

Tyle mówi nadesłany nam wraz z fotografiami komunikat, od siebie dodać musimy, że jest obowiązkiem całego polskiego społeczeństwa poprzeć jak najsilniej starania młodzieży i to nietylko moralnie, zachęcając ją pochwałami do wytrwania, ale i materyalnie, nie szczędząc pomocy finansowej, aby mogła jak najrychlej piękny plan swój do celu doprowadzić.

## Prez. Masaryk na manewrach.

Czesi, którzy w ciągu wojny światowej okazali tyle wstrętu do militaryzmu i dążyli wszelkimi sposobami do przyspieszenia końca wojny, gdy stali się samoistnem państwem, z konieczności musieli zająć się zorganizowaniem armii.

Organizacyą armii czesko słowackiej zajęła się początkowo misya francuska pod przewodnictwem jenerała Pellé, obecnie kieruje nią jenerał Mittelhausser, a przeprowadzono ją według metod francuskich. Francuskie pisma fachowe wyrażają ogromne zadowolenie ze stanu i postawy wojsk czeskich, uważając to za swą zasługę, my mieliśmy sposobność poznać aż nadto dobrze naszych sąsiadów, niezupełnie zatem zgodzilibyśmy się na francuską opinię.

Przed dwoma tygodniami odbyły się manewry armii czeskiej w okolicach Pragi. Wziął w nich osobisty udział prezydent Masaryk, który wprawdzie zawsze dawał się poznać jako antimilitarysta, obecnie, z konieczności rzeczy, poczuł w sobie rycerskiego ducha. Manewrom dywizyi pragskiej przyglądał się z zaciekawieniem, udając, iż się zna na strategii, a orszak jego tworzyli: minister obrony narodowej Udrzal, wiceprezydent Senatu Klofacz, członkowie komisyi wojskowej, jenerał Mittelhausser, szef sztabu jeneralnego i zagraniczni *attachés* wojskowi. Fachowych wyjaśnień udzielał jenerał Mittelhausser.

## Katastrofa lotnicza w Nowym Targu.

Awiatyka robi z dnia na dzień coraz to większe postępy, aparaty napowietrzne zostają z każdym



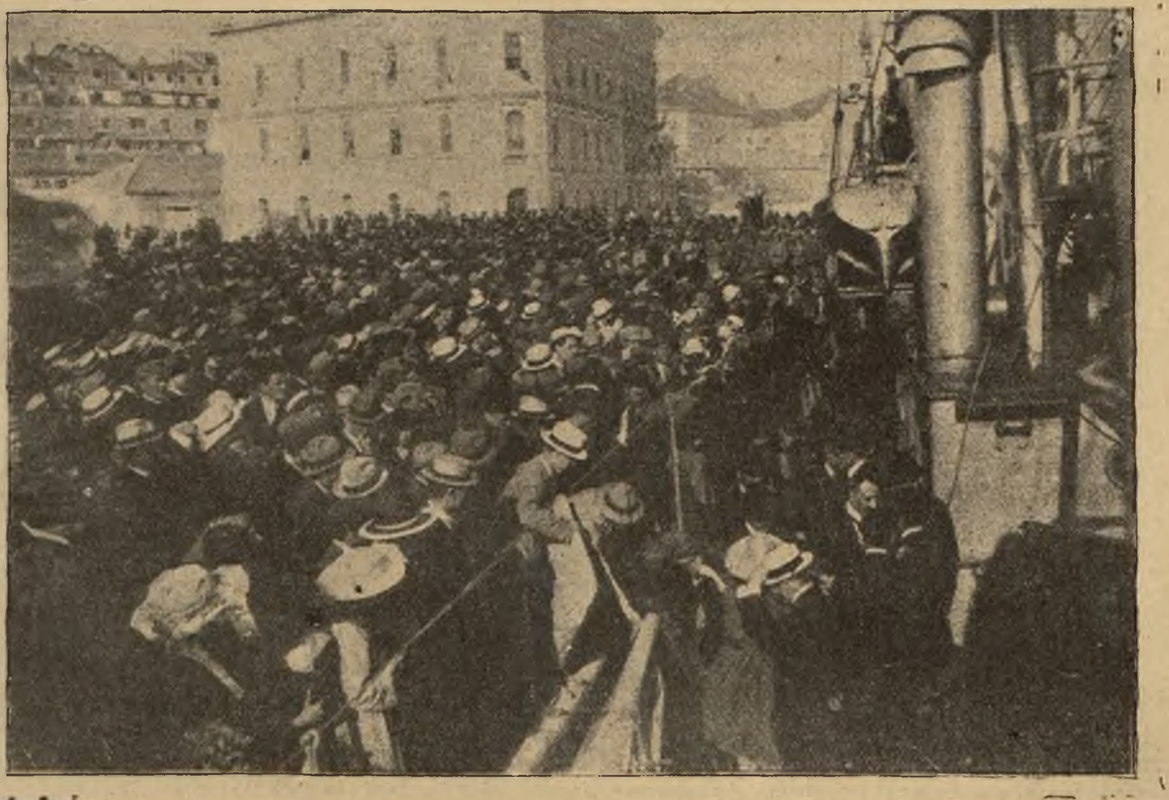
**Najpraktyczniejszy język międzynarodowy:** Naczelnik plemienia indyjskiego ze stanu Oklahoma w rozmowie na migi z byłym szefem sztabu wojsk amerykańskich, jenerałem Hugh L. Scottem.

dniem coraz bardziej udoskonalone, co jednak nie wyklucza częstych katastrof, których powodem głó wnie zdefektowanie motoru i odmówienie przez niego posłuszeństwa w ciągu podróży. Zwłaszcza aparaty typu włoskiego ulegają, rzecz dziwna, najczęściej katastrofom.

Dzieje naszej awiatyki zapisały w dniu 9. czerwca b. r. smutny wypadek lotniczy, którego widownią był Nowy Targ. W dniu tym, w godzinach przedpołudniowych, widziano nad miastem samolot systemu włoskiego, który nagle w oczach przerażonych widzów, począł spadać na ziemię z szaloną szybkością. Powodem katastrofy było zepsucie się motoru. W krytycznej chwili znajdował się samolot na wysokości mniejwięcej 400 metrów, aparat pod kątem 40 stopni spadł na ziemię, ulegając częściowemu zniszczeniu. Dwaj aeronanci, kap. pilot Markowicz i obserwator por. Zawadzki, odnieśli przy tem ciężkie obrażenia, tego ostatniego przygniotło skrzydło opadłego na ziemię samolotu, w miejscu oznaczonem na naszej rycinie krzyżykiem. Kapitana Markowicza przewieziono do szpitala krakowskiego, porucznika Zawadzkiego, u którego zachodziła obawa pęknięcia podstawy czaszki, umieszczono w szpitalu nowotarskim, gdzie, dzięki troskliwej opiece lekarskiej, przyszedł o tyle do zdrowia, iż, jak donosi nasz korespondent przechadza się już i jest nadzieja rychłego powrotu do zupełnego zdrowia.

## Nasi wschodni sąsiedzi.

Należało się spodziewać, że tylowiekowe wzajemne stosunki między Polską a Litwą wyrobią zgodne współżycie obu narodów, przekonujemy się jednak, że narodowy szowinizm oślepia niekiedy tak dalece, iż dotknięci tą słabością, zapoznają swe najżywotniejsze interesy i dają się bałamucić postronnym wpływom, umiejącym ich użyć, jako swoje narzędzie. Inaczej nie można powiedzieć o tak zwanych „litwomanach“, którzy jeszcze za czasów rządów rosyjskich występowali wrogo przeciw polskości, a obecnie doprowadzili do zupełnego rozłamu między obu, tak silnie z sobą związanymi narodami. Ich dziełem rozpadnięcie się Litwy na dwie części, a siedziba ich, Litwa Kowieńska, to dziwoląg polityczny, wyhodowany staraniem Niemiec i Rosyi na szkodę Polski. Leży w interesie Niemiec i sowieckiej Rosyi, aby mieć wygodny pomost, łączący je ze sobą, ich też zabiegom przypisać należy coraz bardziej nieprzejednane stanowisko rządu kowieńskiego wobec Polski. Marki niemieckie i rosyjskie złoto zrobiły swoje, Kowieńska Litwa zapomniała, że to, czem są dziś Litwini, mają do zawdzięczenia jedynie



**Spełnienie się dawno tajonych marzeń:** Ludność Splitu wita owacyjnie załogę pierwszego okrętu wojennego Jugosławii.

Polsce, która zbliżyła się do nich, jako przyjaciel i połączyła na zasadzie „wolni z wolnymi, równi z równymi“. Niemiecko-bolszewickie wpływy zrobiły swoje, pewny ich poparcia rząd Litwy Kowieńskiej idzie, o ile rozchodzi się o stosunek do Polski, o lepsze z najzacieklejszymi jej wrogami.

Upływa drugi rok istnienia kowieńskiego Zgromadzenia Narodowego, którego nieprzejednane stanowisko wobec Polski obecnie, po silniejszem jeszcze zlaniu się Niemiec z Bolszewią, wzmogło się i nie rokuje nadziei, aby kierownicy polityki zachodnio-litewskiej mogli tak rychło poznać, że zeszli na bezdroża i na co narażają swój naród, pchając go gwałtem w objęcia Niemiec i sowietów.

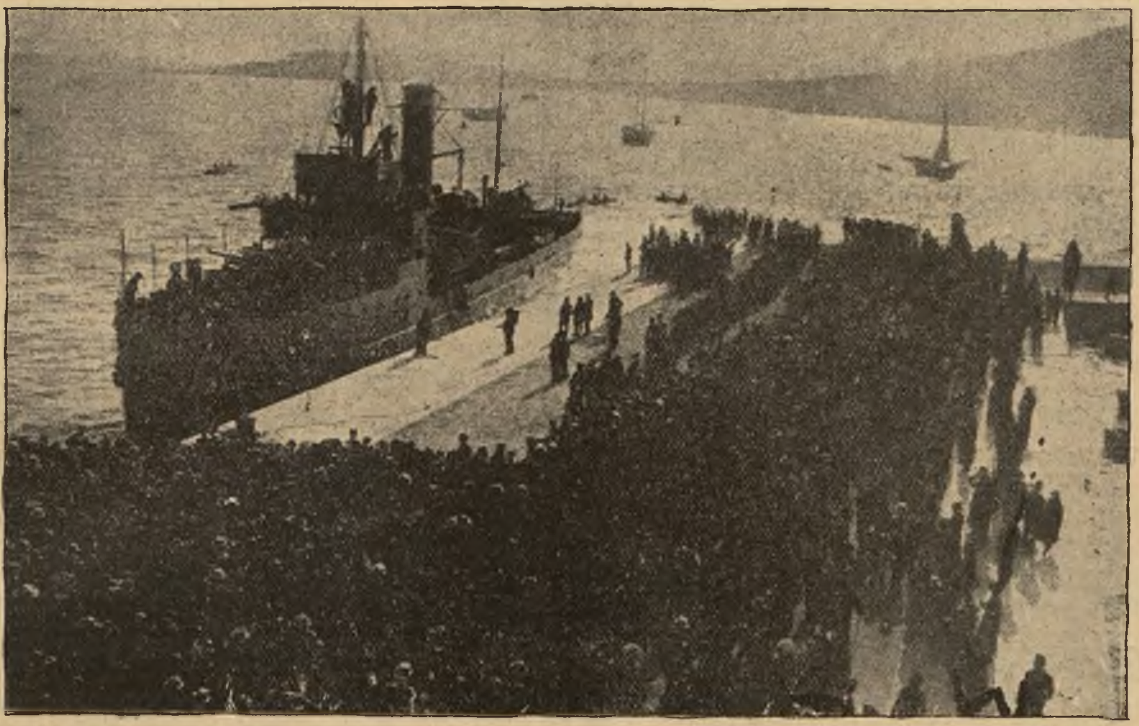
## Najpraktyczniejszy język międzynarodowy.

Dużo się pisze i mówi o potrzebie międzynarodowego języka, bez którego ludzkości, przy swych obecnych ożywionych wzajemnych stosunkach, obejść się trudno. Rolę tę odgrywa dziś wprawdzie język angielski i francuski, najbardziej w świecie rozszerzone, zdaniem znawców nie odpowiadają one jednak zadaniu, dając uprzywilejowanie jednemu tylko narodowi, gdy natomiast taki międzynarodowy język powinien być absolutnie neutralny, aby nie drażnił miłości własnej poszczególnych ludów, zmuszonych nim się posługiwać.

Myślano już o tem, funkcye te spełniał język łaciński, rozszerzony w całym świecie przez Kościół katolicki, okazało się jednak, że nie odpowiada on celowi, jako język martwy. To samo powiedzieć można o dwu językach sztucznych, „*volapücku*“, stworzonym przed kilkudziesięciu laty przez ks. Schleyera, oraz „języku przyszłości *esperanto*“, kombinacyi różnych żywych i martwych języków, będącej dziełem Warszawianina, dra Zamenhofa. *Volapück* należy już dziś do bezużytecznych przeżytków, zdaje się ten sam los czeka i *esperanto*, choć jego wielbiciele rokują mu świetną przyszłość. Do martwoty języka przyczynia się ponadto w tym wypadku i jego sztuczność, a obie te wady niosą dlań z sobą zarodek śmierci.

Jak się okazuje, jest jednak na świecie język, zasługujący w pełnem tego słowa znaczeniu, na nazwę międzynarodowego, a mający ponadto tą zaletę, iż jest dostępny dla wszystkich, tak uczonych, jak i prostaczków. Jest nim, stara jak ludzkość... rozmowa na migi. Kto włada tym językiem, nie potrzebuje się uczyć gramatyki, ani obarczać pamięci mnóstwem słówek, wystarczą ruchy rąk i najrozmaitsze gesty, aby zupełnie zrozumiale dla drugiego wyrazić najdelikatniejsze nawet uczucia. Mową tą posługują się z zupełnie dobrym skutkiem głuchoniemi, oddaje ona jednak usługi także władającym w pełni mową i słuchem. Widzimy to na zamieszczonej obok ilustracyi, przedstawiającej rozmowę na migi, jaka się toczyła między jenerałem Hugh L. Scottem, byłym szefem sztabu wojsk amerykańskich, a naczelnikiem jednego z indyjskich plemion z Oklahomy. Obaj rozmawiali ze sobą dłuższy czas, porozsające najrozmaitsze kwestye i, jak twierdzą amerykańskie pisma, rozumieli się najzupełniej. Nazajutrz przyjęty został Indyanin na audyencyi uroczystej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, tam jednak, ze względu na powagę chwili, używano pomocy tłómacza.

Międzynarodowy język na migi ma jednak tę wadę, iż nie można w nim spisywać aktów dyplomatycznych.



**Spełnienie się dawno tajonych marzeń:** Pierwszy jugosłowiański okręt wojenny „Galeb“, w porcie splickim (Spalato).

## Spełnienie się dawno tajonych marzeń.

SHS., czyli tak zwana Jugosławia, a właściwie Wielka Serbia, obchodziła w bieżącym miesiącu dwie wielkie uroczystości. Jedną z nich były zaślubiny księżniczki Maryi rumuńskiej przez króla Aleksandra, drugą, nierównie droższą sercu każdego Wielkoserba, powitanie w porcie splickim pierwszego okrętu wojennego młodego państwa, mającego być zadatkiem przyszłej jego potęgi morskiej. Był nim okręt minowy *Galeb*, którego powitanie w porcie Splitu odbyło się w sposób nadzwyczaj uroczysty, wśród owacyi ze strony rozentuzyazmowanych tłumów, widzących w tym pierwszym zadatku ziszczenie się swych dawnych tajonych marzeń, to jest dostępu do morza i opanowania go bodajby na małej przestrzeni. Życzenia te są skromne, a jednak krzywo spogląda na nie rząd włoski, który, po upadku Austryi, uważa się za wyłącznego pana Adryatyku. Tem się też tłómaczy trudności, stawiane przez Włochy Jugosławii przy obejmowaniu wygodniejszych portów, nie życzą sobie bowiem konkurencyi tam, gdzie się uważają za wyłącznych panów i władców.



Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego